



pismo miesięczne z obrazkami

← wychodzi w pierwszą niedzielę każdego miesiąca. →

Redaktorka i wydawczyni:

**Marja Wysłouchowa.**

**Prenumerata wynosi:**

Rocznie wraz z przesyłką pocztową — 64 halerzy.

W Wielkopolsce i innych ziemiach zaboru pruskiego — 70 fenigów.

Adres Redakcji i Administracji: Lwów — Chorążczyzna 5.

Z zapomogli Wydawnictwa Imlenia ś. p. Kasyldy Kulikowskiej.



⇒ CZARY ⇒

Gpowiadanie czytelnika „Zorzy“.

O niczem innym nie było słyhać w pewnej wsi, jeno o chrzcinach u wójta. I jakże niema być o nich głośno, kiedy to chrzciny, jakich mało na świecie! Dwanaście par kumów trzymało dziecię wójtowe do chrztu: na samym przodzie, w pierwszej parze, był pan z panią, a potem rzędem następowali włościanie.

Toć po chrzcie takim, wielce był uradowany wójt i dla tego wesoło chciał obchodzić dzień cały.

Nawet sprowadził muzykanta Jankla, a trzeba wiedzieć, że to muzyk nie lada: jak ci pociągnie smyczkiem po strunie, toć nogi same rwą się do tańca. O tem zaś, że wójt prosił do siebie dużo gospodarzy i huk

młodzieży, wspominać nawet nie trza, bo to się samo rozumie.

Jak ci tylko Jankiel począł ciąć swoją sztuczkę, jeli się młodzi ochoczy do tańca. Zaczęto krakowiakiem, a każdy chłopak przyśpiwywał swojej dziewczynie. Rażno brzęczały podkóweczki, że aż w całej izbie dudniło i najpoważniejszemu zrobiło się wesoło, kiedy spojrzął na ten taniec ochoczy.

Starsi gospodarze obsiedli sobie znowu w drugiej izbie ławy i poważną wiedli gawędę o przeróżnych rzeczach, od czasu do czasu jednak, wymykał się i z pośród nich ten lub ów i z ubocza przypatrywał się ochocie tańczącej młodzieży.

Właśnie co tylko zakończył Jankiel krakowiaka i muzykanci zaczęli przygotowywać

się do nowej gry, kiedy drzwi otworzyły się szeroko i do chaty wszedł pan Michał. Nie myślcie wcale, żeby to był jakiś jaśnie wielmożny, gdzie tam! Był on sobie uczciwym pisarzem przy dworze, a że ludzie zwali go panem Michałem, toć dla tego i ja go tak nazywam. Pan Michał był to człek zacny i bardzo dobrego serca, nikim nie gardził, ani też nad nikogo się nie wywyższał, owszem, miłował poczciwych kmieci i w wielkiej żył z nimi zgodzie. Do tego wszystkiego był ci on młody i przystojny, więc nie dziw, że dziewczęta mile nań spoglądały. Ale on jednej oddał serce swoje, jedną tylko kochał, a tą jedną była Marynka, śliczna dziewczucha, która przy dworze, w służbie u pani, pozostawała.

Kiedy pan Michał wszedł do chaty, jeśli go wszyscy witać radośnie, sam nawet wójt wyszedł przeciw niemu dla przywitania.

— Rozgośćcie się, panie Michale, — mówił do pisarza. — Czem chata bogata, tem rada.

— Dziękuję wam serdecznie — odrzekł Michał wójtowi — nie frasujcie się o mnie wcale, już ja się tu dobrze zabawię.

— Hej, panie Jankiel! — woła Jonek, syn Macieja, — zagrajcież znowu skoczego krakowiaka!

Wkrótce odezwała się muzyka, a Jonek, ująwszy Michała za rękę, przeprowadził go na drugą stronę izby, gdzie na ławie odpoczywały dziewczęta. Była tu także czarnobrewka Marynka, która przyszła zabawić się uczciwie u wójta.

— Tu jest wasza! — rzecze Jonek do pisarza.

Pan Michał nie czekał długo, jeno ujął wnet do tańca Marynkę i w pierwszej parze wiódł z nią krakowiaka.

Kiedy już parę razy przetańczono w okóło, pan Michał zaśpiewał do Marynki:

Czegóż ciągle patrzysz w ziemię — na dół spu-  
[szczasz oczy,  
Kiedy do cię serce moje mało nie wyskoczy?  
Spiewa sobie na gałęzi słowik w ciemnym borze,  
A meserce strasznie puka — biedne, pęknać może!..

Marynka zarumieniała się jeszcze bardziej i wciąż na dół patrzyła, aleć pisarz nie ustawał, jeno ciągle tańcząc, przyspiewywał jej dalej. Kiedy się już wszyscy dobrze nahałali, zaczęto się rozchodzić do domu i nikt nie mógł dość się nachwalić zabawy, tak

wszystkim przypadła do serca, lubo w całej chacie ani kieliszka wódki nie było. Długie też czasy rozpowiadali sobie ludzie o tych chrczinach u wójta.

Na drugi dzień rano, kiedy Marynka biegła do jakiejś roboty do oficyn, które stały opodal dworu, na podwórzu Michał zszedł się z nią znowu; dziewczę było czegoś smutne i zamyślane, znać coś musiało trapić jej serce.

— Czemuś taka smutna? — zapytał ją Michał serdecznie.

— I wy jeszcze pytaacie, panie Michale? — odrzekła dziewczyna. — Wzięliście mi serce, toć i nie dziw teraz, iż się smucę.

— Pocóż się smucić, kiedy jutro pójde do państwa, a skoro Bóg da niedzieli do czekać, dam księdzu proboszczowi na zapowiedzi.

— Ej, panie Michale — mówiła Marynka smutnym głosem — kto tam wie, czy państwo pozwolą i co się jeszcze stanie... Ja zwyczajnie jestem sobie prostą dziewczyną, może znajdzie się jaka inna, lepsza...

— Cóż ci znowu do głowy przyszło?! Czemużby kto miał nam wzbraniać miłości i skąd by przyszło komu do głowy swatać mnie z kimś tu inszym?

— Taki ja nie mam wiele nadziei — rzekła Marynka, wzdychając.

— Bądź dobrej myśli i czekaj cierpliwie do jutra, a ja ci ręczę, że wszystko dobrze pójdzie.

Po tych słowach pisarz odszedł w swoją stronę, a Marynka wciąż się smuciła. Myślała ciągle o Michale — boć szczerze go kochała i zdawało się jej, że ludzie staną na przeszkodzie jej szczęściu, że zgromią i wyśmieją, iż śmie sobie z pisarzem zaczynać.

A kiedy dziewczę tak sobie myśli i rozważa przy swojej robocie, przychodzi nagle do niej stara Kowałycha.

Stara Kowałycha, jak ją wszyscy zwali, — złemi trudniła się rzeczami: nibyto wydawała się za lekarkę, ale żadnych leków nie używała przy chorych, jeno odmawianiem, rzucaniem węgli na wodę i innemi guślarskimi sposobami tumaniła ludzi. Przytem trudniła się jeszcze wróżbiarstwem i innem wyczynianiem.

(Dok. nast.)

*Józef Markulis,*

włościanin w Zaborczu, w Mieléckiem..





## SŁONKO .....

Wędrowało sobie słonko,  
 Uśmiechnięte, jasne, złote:  
 Szło nad gajem, szło nad łąką —  
 Napoiłko w łzach sierotę.

Ten się żali: — „Tak wesoto  
 „Świecisz światu, słonko moje:  
 „Uśmiechami sypiesz wkóło,  
 „Gdy ja, smutny, we łzach stoję.

„Obojętnie patrzysz na to,  
 „Jak się ludzkie serca męczą...  
 „J nad każdą ludzką stratą  
 „Promienistą błyskasz łączą“.

Słonko na to: — „Biedne dziecię!  
 „J mnie smutno na niebiosach,  
 „Gdy o waszym myślę świecie  
 „J o ludzi ciężkich losach;

„Lecz nie mogę ustać w drodze,  
 „By nad każdą boleć raną:  
 „Więc w złotystym blasku chodzę,  
 „Wypełniając, co kazano.

„Nie pomogą próżne żale...  
 „Ból swój niebu trza polecić —  
 „J samemu wciąż wytrwale  
 „Trzeba naprzód iść... i świecić!“

*Adam Asnyk.*



## Z ziemi śląskiej.

### III.



al, ogromnie mi żal, że mówiąc w sierpniowej »Zorzy« o znajomych w Izdebnej, o kilku zaledwie wspomnieć mogłam, choć mam ich wielu, bardzo wielu w tej miłej wiosce. — Gwarzyliśmy ze sobą społem najczęściej wówczas, gdy naremny deszcz górski ludzi do izby żenie srebrnymi różgami, gdy mleczone morze mgły okrywa nietylko wysokie wirchy, lecz i najbliższe: Złoty gron, Beskidek, Matyskę. To też teraz, gdy myślę, gdy mówię o nich, zdaje mi się, że z przejrzystych rąbków mgły wychylają się ku mnie życzliwe ich twarze. A więc najpierw widzę okazałą postać Jana Legierskiego: książkę do nabożeństwa trzyma w ręku i zdąża pod oknami mojej izdebki do kościoła, jak to zwykł czynić w każdą niedzielę i piątek. Wnet przystanie ze słowami: »Pięknie witam. Jako się mają?« — i pocznie mówić, rozważnie i rozumnie, jak na doświadczonego gospodarza przystało, o wielu rzeczach, a w końcu wspomni i o Częstochowie. Bywał tam nieraz, ale ostatni raz jeździł, aby spełnić smutny obowiązek, aby postawić krzyż na grobie matki, która, będąc w Częstochowie przed rokiem z pielgrzymką pobożną, zmarła nagłą śmiercią... I na wspomnienie starej matuli, co śpi snem wiecznym tak daleko od Olzy, od gór, od dzieci i wnucząt, czerstwe, jako zorza rumiane, lica mówiącego, powlekają się bladością smutku...

Zaledwie ta postać przesunęła się i znikła we mgle, wnet staje inna, wesoła, młodzieńcza, o żywych, gibkich ruchach. To lubiany ogólnie Tomek Legierski, otwarta głowa, złote serce. Tomasz Legierski ma

gospodę u kościoła, na Rogowcu\*). W obszernej jasnej świetlicy jego pięknej izby gromadzi się mnóstwo ludzi w niedzielę, po nabożeństwie, na kufelek piwa, na pogwarke sąsiedzka i na czytanie. Bo właściciel gospody, sam zapalony czytelnik, ma gazetki przeróżne i na stoły je zawsze kładzie, gościom o nich rozповіда i do czytania zachęca. A czyni to wszystko, aby — jak mówi głosem wzruszonym — i »swoją cegiełkę dorzucić do pracy dla Polski, dla ojczyzny miłej«. — Gorący z niego patrijota, sam on nawet, mówiąc o sobie, używa tego wyrazu, zamiast ogólnie przyjętej na Śląsku nazwy »narodowiec«. A wniosła jego miłość dla ojczyzny, długo nieznanej, dzieli i żona, Maryna, wyróżniająca się urodą nawet wśród pięknych Izdebnierek. Przed trzema laty, będąc w Krakowie na uroczystości odsłonięcia pomnika Mickiewicza, płakała rzewnie, jak dziecko. Nie mogła zapamiętać nad mnóstwem nowych wrażeń i pojęć, które cisnęły się do duszy. Wzruszały ją zwłaszcza mowy o dawnej sławie polskiego narodu, o męczeństwie jego od stu lat, o prześladowaniu i krzywdach, które naród polski cierpi od Niemców i Moskali. Tak się tem wszystkim przejęła, że, będąc już trochę niezdrową, gorzej zasłabla i przez parę tygodni po powrocie do domu przyjść do siebie nie mogła.

A teraz, w ślad za starszymi, staje przedemną cała gromadka dzieci: Katarzynka Śliwków, malutka, wesoła Haniczka Małychjurków, moich gospodarzy, co zdaleka otwiera

\*) Wszystkie gospody w Izdebnem — jest ich kilka — utrzymują sami gospodarze. O szynkarzach tu ani słyhać, ale też i pijaka ze świecą byś nie znalazł.

ramiona, jak ptaszek skrzydła do lotu i woła swoim zwyczajem: »ku-ku!« — Marynka, od Przygona, córka muzyka od Wojtaszów, nieśmiała, cicha, a taka pieśzcotliwa — i dwaj Pawełkowie. Jeden Pawełek ma rumianą buzię, błękitne, jak niebo, oczy, włosy jasne i nazywa się Gazurek. Drugiemu Pawełkowi ciemniejszą na smagłej twarzyczce czarne oczęta, ale długie włosy też mają barwę lnu. Pisze się on Kukuczka. Obaj są od Kieпка i obaj pasują krowy na Dzielecu, nad Olzą, gdzie i my radę przesiadujemy w cieniu młodych, woniących smreków. Więc jak tylko Kropek, Różana, Kwiatula, Forela, Sarna, Malina, Brzezula, Sikora, Winocha i ich towarzyszki zapomną o owsach, co się złocą wokoło, i poczną spokojnie się paść, — wnet obaj Pawełkowie lecą ku nam i powiadają dowcipne gadki, mądre przysłowia, trudne zagadki, które dla nas od starszych zbierają, bo wiedzą, żeśmy ich niezmiernie ciekawe. Obaj uczą się w szkole z równą pilnością, obaj są tak samo grzeczni i szczerzy dla nas, ale Gazurek poniekiedy nie przyjdzie, wyręczy się Ewiczka, natomiast Pawełka Kukuczkę widzujemy w każdziutkie popołudnie i codzień świeci mu w oczach cicha radość, niby światło miesiączka, że ma nowe, nieznane przysłowie lub gadkę...

Nie, — widzę, że cały numer »Zorzy« trzeba by zapisać, chcąc jedno choćby słówko powiedzieć o wszystkich, z którymi wiążą się miłe wspomnienia. W pamięci wstają imiona Sikorów, Burych, Wolnych i Marek-wicy, co sypie, niby z rękawa, przeróżne s z p a s y — i Kawuloczki, co umie leczyć i zna wszystkie rośliny, wszelakie zioła, — od psiny o cienkich, jako włosy, ździebełkach, do krępych buczków — i mnóstwo innych. Więc już o dwóch jeno osobach wspomnę, kierując się głębokimi słowy: »błogosławieni ostatni, albowiem oni będą pierwszymi«.

Jedna z tych osób — to matka posłańca gminnego, malutka, zwąwa staruszka. Koleja jej życia dla tego tak głęboko zapadają w pamięć i serce, że to dzieje setek, tysięcy, jeżeli nie milionów istot ludzkich. Od lat najmłodszych walczyła z biedą: robiła wiele, jadała mało. Radość była nieznanym u niej gościem. Potem przyszyły głodne roki. Widmo nędzy zajrzało do chat najhrubszych gazdów, a cóż dopiero mówić o niej, biedaczce! Udręczenia, pochodzące z braku żywności, tem bardziej dały się jej we znaki, że nigdy nie była obojętna na smaczne kąski, — owszem, lubiła i lubi bardzo zjeść coś lepszego. Więc też w one głodne roki, warząc przeróżne zieliny, o jedno zanosila modły do nieba,

a mianowicie o to, aby »Pan Buczek pod z w o l i ł zjeść choć raz jeden — jedyny przed śmiercią sztuhanki\*) z mlekiem«.

Modły jej zostały wysłuchane. Łaskawy los dał nawet więcej, niż prosiła, bo często, bardzo często jada sztuhankę. Natomiast mięso to przysmak i teraz dla niej niedostępny, choć nieraz radaby pokrzepić siły pożywniejszą strawą. Oto co opowiadała sama, ze szczerą prostotą, chwiejąc trzęsącą się ze starości głową: Pewnego razu przyniosła, w zastępstwie syna, jakieś papiery i gazety do izby zamożnych górali. Trafiła jak raz na obiad. Gazdowie, wraz z czeladzią, jedli wyborną pieczonkę baranią. Zapach tłustego mięsa z czosnkiem połechttał mile jej powonienie, odurzył ją prawie. »Gdybych była rzekła, daliby mi«. Ale na Izdebnem nikt nie umie prosić. Więc i ona stała przy stole, nim gazda napisał, co trzeja było — i milczała, starając się jeno ukryć ślinę, która jej wciąż obficie napływała do ust. Miała biedę z tą śliną, chociaż uciekła się do środka najpewniejszego dla jej powstrzymania: zasunęła pośliniony duży palec prawej ręki za fartuszek, z lewej strony. »Stary człowiek jest jako dziecko« — mówi smutnie. To też zaraz po powrocie, uczuła silny ból w dołku, a potem rozniemogła się na dwa tygodnie.

Teraz, odkąd wnuk pracuje w fabryce w Witkowicach, lepiej się im powodzi. Mają nawet własną izbę. Pracowali na nią od trzech pokoleń, a postawili przy pomocy dobrych ludzi, których nie brak na Izdebnem. Belki na ściany nie drogo kosztowały. »A szyndziółków to znaczy gon-tów — nie kupowałam — chwali się staruszka — gazdowie za darmo dali, kto wiele mógł«.

A wiecież, drodzy Czytelnicy, jakie jeszcze nie spełnione życzenia piastuje w duszy miła staruszka? — Oto marzy o tem, aby choć raz jeden nie sprzedawać w Jabłonkowie wieprzka, którego co rok wykar-miają, lecz zabić go na własne potrzeby, — a po drugie, chciałaby kupić sobie za kilka szóstek nowe kypce, czyli płytkie obuwie skórzane, które noszą w górach, — aby przyodziać pięknie na śmierć zmęczone swoje stopy, które przez lat tyle bosko krwawiły się po skolach...

Skromne marzenia, nieprawdą? — I nie trzeba być wszechmocną wróżką, aby je spełnić.

\*) Ziemniaki, utłuczone na gorąco i rozmieszane z mlekiem słodkimi lub maślanką.

Ostatnią wreszcie osobą, której poświęcić słowo wspomnienia każe mi pamięć i serce, jest żebrak Tomasz. Wpierw jednak muszę zaznaczyć, że na Śląsku żebractwo, we właściwym znaczeniu słowa, nie istnieje wcale. Nikt tam nie zaodziewa się w łachmany, nie bierze sakw i kija, nie idzie wśród obcych na poniewierkę, aby śpiewem, modlitwą, narzekaniem, zdobyć jałmużnę wzgardliwą. Kto ma siły, ten pracą sam sobie chleb zdobywa, starcami zaś niedołącznymi z pośród bezrolnych opiekuje się gmina. Podług jej uchwały dają przytułek i żywność takim biedakom sami gazdowie, stosownie do stopnia zamożności, a więc bogatsi trzymają u siebie żebraka i zaopatrują jego potrzeby przez dwa dni, — mniej bogaci przez dzień, jeszcze inni przez pół dnia. Kilka lat temu był, naprzykład, w Izdebnem nieszczęśliwy, pozbawiony zupełnie władzy w nogach, więc gazdowie przychodzili po niego z nosidłami i zabierali do siebie na oznaczony czas.

Nie trzeba wychwalać tego zwyczaju, bo wzniosłą jego piękność każdy sam oceni. Wysoko rozwinięte w ludzie śląskim poczucie braterstwa, które powinno łączyć wszystkich ludzi, oszczędza nieszczęśliwym, pokrzywdzonym przez los, troski najboleśniejszej, troski o jutro niepewne, o jutro głodowe. Znajdują oni pomoc na starość wśród swoich, z którymi i dla których pracowali, w rodzinnej wiosce, na ziemi, krwawym ich potem skropionej.

Ale wracam do znajomości mojej z Tomaszem.

Zdarzyło się, żem jadąc w słotną jakąś sobotę przez wieś, zgubiła sakiewkę. Znaj-

dowało się w niej 14 guldenów i coś drobnych. Zgubę moją znalazł właśnie żebrak Tomasz i na drugi dzień po południu odniósł ją do mojej izdebki na werchu.

Wszedł z nienacka, ubogo, ale chędogo ubrany, bez łat i strzępów, a w rękę miał kij o bardzo pięknej rączce. Tę rączkę wyrzeźbił mu ze smerekowego korzenia, w kształt jakiejś paszczy smoczej, ze stalowymi gwoździkami zamiast oczu, wspomniany już muzyk od Wojtaszów, Jan Przygoniak. Wyglądało to ślicznie i niepowszednio.

Tomasz wracał, jak zwykle w niedzielę, z obiadu u starszego kierownika szkoły, pana Karola Grani, który gościł go, ma się rozumieć, nie z rozporządzenia gminy, ale z nakazu własnego serca, — ale z poczucia, że i on, nauczyciel, stanowi część całości, gminy.

Na zaproszenie, aby zechciał usiąść, Tomasz zbliżył się do stołu i położył sakiewkę z pieniędzmi, mówiąc:

— Wczoraj jeszcze znalazłem to w marasie (błocie), ale darujcie, co jeny dziśka odnoszę. Chciałem jedną noc przespać, jako i ten bogacz...

— U nas o kradzieżach nie słyhać — mówił mi później ze słuszną dumą muzyk od Wojtaszów, z którym rozmawiałam o tem zdarzeniu. My nie zawieramy ani izb, ani truheł (skrzyń). Ja ani nie wierzę w złodzieja.

— Chudobny człowiek, a jakiego ducha miał w sobie! — dorzucił z uznaniem Franciszek Kobielski, po przyzwisku Jegier.

*M. Wystouchowa.*





DZIEWCZYNA WIEJSKA.



## Słówko małe o wiosce Łoszniowie,

**R**aduję się prawdziwie, że Szanowni Czytelnicy z Trembowelskiego — a w pierwszym rzędzie p. Józef Sytnik i miła jego gospośnia — znajdą w dzisiejszej „Zorzy“ obrazek ze swoich stron.

Obrazek ów przedstawia plac, noszący nazwę placu Mickiewicza, w wiosce Łoszniowie, położonej niedaleko od granicy północnej powiatu trembowelskiego.

Dziwnem może się wydać w pierwszej chwili, że mieszkańcy zapadłej wioski ru-

skiego powiatu znają dzieła wielkiego pisarza i składają mu hołd, chrzcząc jego imieniem część swojej sadyby. Ale Łoszniów należy do miejscowości niemal wyjątkowych w naszym kraju.

Szcześliwym zbiegiem okoliczności, Łoszniowianie znajdowali szczerych przyjaciół we dworze, w szkole i na plebanji. Ksiądz, nauczyciel i dziedzic, którego wspominają po dziś dzień z wdzięczną miłością, starali się szczerze o ich oświatę. To też zdolny i pracowity lud otrząsnął



Plac Mickiewicza we wsi Łoszniowie.



się szybko z ciemnoty i w krótkim stosunkowo czasie doszedł do znacznego dobrobytu, stał się uczciwy, rządny, postępowy.

Zajmujące szczegóły o Łoszniowianach podaje p. Aleksander Bayger, nauczyciel ludowy, który poświęcił sześć lat życia na zbadanie powiatu trembowelskiego i napisał o nim przepiękną i grubą, bardzo grubą książkę.

„Lud w Łoszniowie — pisze p. Bayger w cennem swoim dziele — chętnie garnie się do człowieka oświeconego, rad jego słuca uważnie i w praktyce je przeprowadza. A więc stara się ulepszyć swoje gospodarstwo, wprowadza udoskonalone narzędzia rolnicze, wiąże się w Kółka rolnicze, zakłada sklep chrześcijański i ruguje ze wsi kilka sklepików żydowskich, wzrasta w dobrobyt materialny, a znając wartość oświaty i ceniąc ją, wydaje 16 tysięcy zł. na budowę szkoły, 30 tysięcy na kościół, 15 tysięcy na cerkiew<sup>1)</sup> i to wszystko w ciągu lat kilku! Oto, co z ludem naszym zdziałać może dobroczynny a szczerzy wpływ oświeconych przyjaciół!”

Tyle słów p. Baygera. Miło je czytać, naprawdę! — i wiara wstępuje w serce, że wkrótce we wszystkich naszych wioskach będzie tak samo, albo jeszcze lepiej. Bo i któż nam może przeszkodzić w pracy, doskonaleniu się i oświecaniu wzajemnem, — pytam się?

A teraz to już nie dziwno nam, że plac w oświeconym Łoszniowie nosi nazwę Mickiewicza, nieprawdaż? — Nie wątpię też, że i inne wioski zechcą uwiecznić w ten sposób pamięć wielkich mężów. Należałoby się to w pierwszym rzędzie Kościuszcze, wodzowi w sukmanie, temu, co „błyskiem chłopskiej kosy imię swoje wzbil w niebiosy.”

Pomyślcie o tem, Szanowni Czytelnicy, Drodzy Przyjaciele!...

M. W.

<sup>1)</sup> Ludność w Łoszniowie jest mieszana, polska i ruska, rzymsko-katolicka i grecko-katolicka.



## Listy do „Zorzy“.



*Skotyszyn. W sierpniu.*

Gazetki coraz bardziej rozpowszechniają się po wioskach i w coraz liczniejszych świecą chatach. Ale mapy ziemi polskiej, miłej naszej ziemi ojczystej, mało jeszcze są tu znane. A jednak rzecz to niezbędna dla tych, co chcą poznać dokładnie swój kraj. A rozglądanie się w takiej mapce nie tylko poucza, lecz i wiele przyjemności dostarcza.

Mówię to na podstawie własnego doświadczenia, bo oto niedawno nabyłem za pieniądze nie wielkie, za 1 koronę, mapę Polski, która przypadła mi wielce do gustu.

Znalazłem tu wszystkie miejscowości, pamiętne z ważnych wypadków dziejowych, a przedewszystkiem znane mi z powieści historycznych Sienkiewicza: »Ogniem i mieczem«, »Potop« i »Pan Wołodyjowski«. — A więc: radziwiłłowskie Taurogi, Birze, Kiejdany, Łubnie, nieszczęsne Żółte wody i Korsuń, — smutne hániebnem zachowaniem się wodzów, Piławce. A wreszcie owe Skąły nad Jahorlikiem koło Dniestru, gdzie kozak Bohun ukrył był Helenę Kurcewiczówną przed okiem Skrzetuskiego, — oraz wiele innych miejsc, znanych z historii.

Zaiste, piękną jest nasza przeszłość dziejowa, ale wydała mi się jeszcze piękniejszą,

gdym począł śledzić oczyma, gdzie się ten lub ów wypadek zdarzył.

I dla tego sądzę, że rozpowszechnienie map Polski, przyczyniłoby się w znacznym stopniu do rozbudzenia uczuć patriotycznych wśród ludu. Kochać można tylko to, co się zna. A więc poznawajmy z dobrych książek i gazet dzieje naszej Ojczyzny, a ziemię naszą ojczystą poznawajmy z dobrych mapek.

Pozdrawiam Szanowną Redakcję i wszystkich Czytelników »Zorzy«.

Marcin Skiba, z Kunowy.

Kraków. W sierpniu.

Wzruszająca opowieść o sierocie, podana przez jednego z Szanownych Czytelników do lipcowego nr. »Zorzy«, przypomniała mi kilka prawdziwych zdarzeń, z których jedno dziś przytaczam w tem miejscu.

Przeszło lat 60 temu służyła sierota u zamożnego gospodarza na Miedzmem i ten ją uwiódł. A że wtenczas takie dziewczęta były bardzo prześladowane, więc biedaczka powiesiła się z rozpaczy i ze wstydu. Ale nie uszła hańby: po śmierci czekała ją druga wżgarda. Trupa samobójcy na cmentarzu nie wolno grzebać, a nikt na swoim gruncie nie chciał mu dać miejsca na odpoczynek wieczny, bo w onych czasach ogólne było mniemanie wśród ludu, że taka lub inna kłeska elementarna spadnie na tych, u których nieboszczyk ów będzie pogrzebany. Znalazł się jednak i dla zwłok nieszczęśliwej sieroty kącik w ziemi. Ojciec mój miał grunta w Jaroszowicach i Wadowicach, więc zezwolił na między granicznej ją pochować, a że miejscowość, zwana Miedzme, gdzie biedaczka zakończyła życie, od drugiej granicy Jaroszowic leży  $\frac{3}{4}$  mili, więc tę nieszczęśliwą w gnojnicach wołami przywieziono.

Takie było prawo ostre.

Da Bóg, że się może doczekamy, iż lud sam sobie będzie dyktował prawa, a wtedy krzywdę wyrządzoną trza będzie odpowiednio wynagrodzić.

A może lud jeszcze bardziej zaostrzy prawo, bo dziewczęciu odebrać jej cześć, nie wiem większej zbrodni, bo człowiek bez czci jest istotą najnieszczęśliwszą na świecie. Nie zapomnę nigdy, słów matki mojej, które do nas, dzieci, mawiała: »Masz komu odebrać cześć, — odbierz mu życie wprzód«.

Ze wzrostem oświaty, wzrośnie i moralność. Nikt wówczas krzywdy wyrządzać bliźniemu nie będzie. Oby to stało się naj-

rychlej. My zwłaszcza, Polacy, powinniśmy nad umoralnieniem ludu naszego czuwać najbardziej, bo to jest jedyna opoka, na której odbudować możemy ukochaną naszą ojczyznę.

E. Hałaciński.



## Czyny nauczające.

(Lepsza śmierć, niż niewola). Wszyscy wiemy, jak poczynali sobie za dawnych czasów Krzyżacy. Chciwość, pycha, okrucieństwo, fałsz gnieździły się w ich duszach, panowały tam niepodzielnie. Konrad, książę mazowiecki, sprowadził z Niemiec ów rycerski zakon i dał im z łaski szmat ziemi polskiej. A oni, jako te żmije, sączyli jad w pierś, która ich przytuliła, jako krety podkopywali potęgę Polski, aby do zguby ją przywieść. Ale za twardy to był orzech do zgryzienia na ich zęby. Gdy przekraczali miarę nieprawości, nawet cierpliwi królowie polscy tracili cierpliwość i pouczali niemieckich zuchalców w sposób bardzo przekonujący. Słynie przecież w historii »psie pole«, na którym padło tyle Niemców w walce z Polakami, że niepodobna było pogrzebać wszystkich trupów. Leżały stosami na polu bitwy, aż psy rozwłóczyły je po świecie. — Słyną przecież w historii pola Grunwaldu, na których stopa polska starła w proch potęgę Niemców Krzyżaków.

Natomiast stokroć bardziej dawali się oni we znaki sąsiedniej Litwie, przed połączeniem jej z Polską. Litwa była w onych dawnych wiekach pogańską, więc Krzyżacy głosili, że posłannictwem ich jest nawrócić Litwinów na wiarę Chrystusową. I pod tym pozorem nachodzili rok rocznie kraje litewskie, niszczyli je ogniem i mieczem, rabowali, mordowali mieszkańców. A celem ich

ostatecznym było zagrabić Litwę pod swe panowanie i uczynić z niej kraj niemiecki. Ale Litwa broniła się walecznie, ale Litwini woleli przelewać krew do ostatniej kropli w walce z Niemcami, niż poddać się pod ich jarzmo.

W tem ciąglem wyteżaniu wszystkich sił, aby wolność zachować, aby ojczyznę bronić, hartowała się ich wola, potężniał duch! I wiele bohaterskich czynów jaśnieje w dziejach ówczesnej Litwy. O jednym z nich chcę właśnie powiedzieć Wam tutaj, Czytelnicy mili.

Było to tak:

Nad Niemnem, co głębokie i bystre wody niesie po zielonych łąkach, u stóp lesistych wzgórz litewskich, stał niegdyś obronny zamek Pullen. Dzisiaj zapewne i śladu nie pozostało z jego murów, ale w 1336 roku, to znaczy dawniej, niż przed pięciu i pół wiekami, czuwał on, jako wierna strażnica, nad domową rzeką, stawiał dumne czoło napaściom krzyżackim. Wybiła jednak i dla niego straszna godzina.

We wspomnianym roku 1336 liczniejsze, niż kiedykolwiek, zastępy Krzyżackie pomknęły ku Litwie, na rabunek, na mord! — Zamku zaś broniła, pod wodzą walecznego Margiera, szczupła załoga. Siły były nierówne, prawda, lecz Litwinów ożywiała dzika energia, nieustraszone męstwo, więc walka toczyła się długo, mordercza i krwawa. W końcu jednak musiała ustać. Mury zamkowe, zbluzgane krwią, trupem okryte, drżały i kruszły się pod ciężkimi młotami Krzyżaków. Chwila, a zrobią wyłom, wtargną do zamku...

Wtedy nieszczęśliwej załodze błysnęła myśl wielka a straszna.

— Nie chcemy niewoli! — wołali — Nie pójdziemy do Niemców, aby być ich sługami!... Umrzjemy raczej tu, na swojej ziemi, — umrzjemy wolni!...

I wnet rzucają się wszyscy razem zgodnie, jak jeden mąż, do dzieła. Znoszą drzewo na podwórze zamkowe, gromadzą gałęzie, układają olbrzymi stos ofiarny... Śmiała jakas ręka dobywa iskry... płomień bucha słupem złotym, dymy aż w niebo idą... W płomień gorejący, w dym skłębiony rzucają się z okrzykiem tryumfu Litwini i giną — wolni!

Uszli Niemcom, a prochy ich ofiarne wicher rozsiał po ziemi oczyszczonej i zapłodnił ją do dalszego życia, do walk dalszych...

Dzisiaj zapewne i śladu nie pozostało z zamku Pullen nad Niemnem, ale czyn jego obrońców nie zagasł w popiele niepaści. — Owszem, — świeci, jako iskra czerwona. M. W.



## ROZMAITOSCI

**Żałobna rocznica.** Od stu lat przeszło, od chwili, gdy Polska utraciła niepodległość, dzieje nasze, to cierpienie, walka, bohaterstwo, męka! — Pamiątkę męki wybranych synów ojczyzny święcimy też w dniu 5. sierpnia. W 1863 r. naród polski, przywieziony do rozpaczy brutalnym uciskiem Moskwy, porwał za oręż, aby zrzucić ohydne jarzmo niewoli.

I wielką musiała być siła ducha w powstańcach z r. 1863, wielkiem ich bohaterstwo, jeżeli bez wojska, fortec, broni, potrafili stawić czoło przez 18 miesięcy Rosji, najpotężniejszemu państwu w świecie, które posiadało wówczas czterysta tysięcy wojska.

A trzeba pamiętać i o tem, że walczyli tylko Polacy w ziemiach, zabranych przez Moskali, przy niewielkiej stosunkowo pomocy braci z Galicji i Wielkiego Księstwa Poznańskiego, czyli z zaborów austriackiego i pruskiego.

Wszystkimi sprawami narodowymi podczas onej walki krwawej kierował Rząd Narodowy, tajny, ukryty przed światem. Członkowie Rządu Narodowego zmieniali się kilkakrotnie. Ku jesieni zaś, w połowie października 1863 r., na czele Rządu Narodowego stanął Romuald Traugut, jako dyktator, to znaczy: posiadający władzę nieograniczoną.

Był to człowiek wielkiej cnoty, niezwykle pięknego charakteru. Całą duszą oddany ojczyźnie, Traugut służył sprawie upadającego powstania z niezachwianą energją, z bezgranicznym poświęceniem. W końcu jednak szpiegdy moskiewscy wpadli na jego ślady i pewnej nocy uzbrojeni żandarmi wtargnęli do jego mieszkania. Traugut przyjął ich spokojnie. Powiedział jedno tylko, krótkie słówko: „Już!“ — ubrał się i poszedł za nimi do więzienia...

Wielki spokój ducha nie opuścił go aż do śmierci, która nastąpiła 5. sierpnia 1864 r.

W dzień ów wzniesiono 5 szubienic na stokach fortecy warszawskiej, jedną dla Trauguta, cztery inne dla jego towarzyszy: Żulińskiego, Toczyskiego, Jeziorańskiego i Krajeńskiego.

Tłumy niezliczone zaległy cały plac. A kiedy skazańcy ukazali się na czarnych śmiertelnych wozach, w otoczeniu wojska, przy biciu w bębny, głośny płacz wybuchnął z wielotysięcznej piersi ludu. Sami jednak skazani na śmierć okazywali niezłomną siłę ducha. Nie żalowali życia, bo umierali za ojczyznę. Właśnie ręcznie zaodziali koszule śmiertelne i zarzucili sobie stryczki na szyję. Jeden z nich pocałował stryczek, który miał go za chwilę udusić, chcąc tem okazać, że z miłością wita męczeństwo za wolność. Traugut, konając, oczy podniósł ku niebu i złożył ręce. Modlił się. I ruch ten modlitewny zachował nawet po śmierci...

Dzień 5. sierpnia, jako rocznicę męczeńskiej śmierci Trauguta i towarzyszy, święcono we Lwowie i innych miastach nabożeństwem żałobnem.

**Adam Asnyk.** Poeta, którego wiersz podaje dzisiaj „Zorza“, niedawno nas opuścił: Adam Asnyk zmarł w lipcu 1897 r. Wielu z pośród nas miało szczęście znać go osobiście, a posłowie nasi włościańscy pamiętają Asnyka, jako kolegę sejmowego. Pamięta go jednak najlepiej chyba poseł Franciszek Wójcik z Wyciąż pod Krakowem, bo wspólnie z nim brał udział w uroczystości pogrzebowej Teofila Lenartowicza. Obaj przemawiali nad trumną zmarłego pieśniarza, z Włoch sprowadzoną: Asnyk mówił w imieniu poetów, — Wójcik w imieniu ludu, który Lenartowicz z taką miłością w pieśniach swoich opiewał.

Adam Asnyk brał udział w powstaniu z r. 1863-go. Przez pewien czas piastował nawet wysoką godność członka Rządu Narodowego. A gdy szcęk oręży umilkł, gdy promienie nadziei zgasły w potokach krwi, gdy ziemię polską zaległo młeczenie grobów, — wtedy zabrzmiała pieśń poety, potężna, czysta i wzniosła, nad upadkiem ojczyzny bolejąca...

W swoim czasie, to jest po roku 1863, Asnyk nie miał równego sobie poety w narodzie polskim. On był największy, najślawniejszy, — jego utwory poetyckie czytano z uwielbieniem i zachwytem, on był pierwszym tłumaczem boleści i nadziei ojczyzny.

Nieraz jeszcze mówić będę zapewne w „Zorzy“ o wspaniałych utworach Asnyka. Dziś, w tej notatce pobieżnej, wspomnę o je-

dnym tylko z jego drobnych wierszy, który utkwił mi w pamięci najgłębiej. Ma on tytuł: „Ucisz się, serce!“ Poeta nawołuje w nim, abyśmy się nie uginali pod brzemieniem osobistych zawodów, smutków, żalów, lecz pociechy szukali na ból serdeczny w pracy dla dobra bliźnich, dla przyszłości narodu. Wiersz ów kończy się takim oto ustępem przepysznym:

Będziesz, — gdzie ludzkiej myśli źródło  
W niepowstrzymanym rwie biegu, —  
Gdzie się rozstrzyga duchów bój,  
W walczących staniesz szeregu;

Gdzie płynie skargi rzewny głos,  
Tam będziesz i będziesz z temi,  
Co chcą polepszyć ludzkości los  
I przynieść szczęście tej ziemi.

I do wieśniaczych zstąpisz chat  
Budzić uczucia nieznane,  
Więc nie oplakuj swoich strat, —  
Ucisz się, serce stroskane!

**Nowa wieża w Częstochowie.** Na Matkę Boską Zielną, 15. sierpnia, kiedy rzesze pobożne z całej Polski cisnęły się na Jasną Górę, upłynął właśnie rok od chwili, gdy dzwony częstochowskie uderzyły zatrzważając wieś: „Wieża jasnogórska w płomieniach!“ Posypały się hojnie składki na podźwignięcie wieżycy na nowo, i zanim rok upłynął, całkowity potrzebny fundusz już zgromadzono i wszystko do jej odbudowy przygotowano. Z odbudową wieży postanowiono połączyć też rozszerzenie kaplicy Matki Boskiej.

Cała wieża częstochowska, przy zachowaniu dawnej formy, w odnowionej swej postaci obłożona będzie kamieniem ciosowym. Górna część wieży będzie żelazna, obita blachą miedzianą. Kolumny, spalone podczas zeszłorocznego pożaru, dawniej drewniane, obecnie wykonane będą z granitu, a figury pierwotne zastąpią nowe, z brązu, przepiękne. Styl i kształt wieży pozostaną nienaruszone, a mierzyć ona będzie od podstawy do wierzchołka, 90 metrów wysokości do kuli brązowej, po nad którą unosić się ma krzyż, zakończony postacią kruka, jako godła św. Pawła pustelnika.

Na wierzchołek wieży prowadzić będą schody, od podstawy kamienne, wyżej żelazne.

**Jubileusz pracy.** Tekla Sypa, robotnica, zatrudniona przy wyrobie cygar w fabryce tytoniu w Winnikach pod Lwowem, obchodziła przed kilku tygodniami jubileusz 50-letniej, wzorowo wykonywanej pracy. Dzień ów obchodzono w fabryce uroczysto, a za niej jubilatec złożono upominki: Zarząd fabryki wręczył jej

dyplom uznania i kwotę stu koron, a współrobotnice srebrny puchar i kilka pięknych bukietów, czyli woniaćzek, jak powiadają w górach śląskich.

Praca fabryczna odbywa się zazwyczaj w warunkach tak szkodliwych, że nie powiem: zabójczych dla duszy i ciała. Iż wielką zaiste, musiała być siła moralna i fizyczna zaciernej jubilatki, jeżeli wyszła zwycięzko z próby. Dajże jej, Boże, doczekać w dobrem zdrowiu i brylantowych zaślubin z pracą!

**Zaszczytna nagroda.** Naczelnik posterunku żandarmerji we Lwowie, Jan Tomko, otrzymał srebrny krzyż za usługi za uratowanie z największym niebezpieczeństwem, z niechybnym prawie narażeniem własnego życia, pewnego człowieka od śmierci w płomieniach.

**Ile puszczaemy z dymem?** Dochód ze sprzedaży tytoniu, cygar i papierosów w Austrii wynosi 213 milionów koron rocznie. Z tego przypada na Galicję bez mała 27 milionów koron rocznie. Olbrzymia to cyfra! Strasznie wiele ubogi nasz kraj puszcza z dymem! A jak to zdrowiu szkodzi, ile powstaje stąd chorób gardła, płuc, żołądka! Smutno pomyśleć! A możeby Szanowni Czytelnicy „Zorzy“ chcieli przeciwdziałać tej pladze? Możeby zawiązali towarzystwo wstrzemięźliwości, któreby odcinało ludzi od palenia? — Pięknie by się ten zasłużyli przyszłym pokoleniom, bo i dzieci chorowitych rodziców nie mogą być zdrowe.

**Długowieczni ludzie.** Jaki jest kres ostatni długości życia, trudno oznaczyć. Historia nie podaje nam starszego człowieka nad 200 lat. W roku 1847 ogłosił dziennik amerykański *Tory-Post*, a za nim powtórzyła cała Europa, że najstarszy człowiek na świecie żył wówczas w Nowym Jorku i liczył 187 lat. Nie wiemy, kto jego metrykę oglądał. Dotychczas uchodzili za najstarszych: Norwegezyk Jakiev, liczący 169 lat i Anglik Parre, mający lat 152. W wieku XVII. słyneło w Temeszwarze, na Węgrzech, małżeństwo, które żyło z sobą 147 lat. Mąż miał 182, żona 162, obchodzili, ma się rozumieć srebrne i złote wesela. Prawnuk ich liczył lat 24. Zdawałoby się to bajecznem, gdyby niedawno nie przypomniano tego faktu szczegółowo, z tem wyjaśnieniem, że gubernator Marcy, ku pamięci tej osobliwej starości, przesłał dworowi austriackiemu wizerunek sędziwego małżeństwa. Francuz, aktor Noel, umarł w Paryżu 1730 r., mając lat 118. Był 92 lat aktorem, występował 28.010 razy w teatrze, umierał na scenie 1.040 razy, 130 grał rolę króla, 626 razy był uczeiwym, 26.000 razy łotrem, a zawsze wesoły i najlepszego serca. W roku 1705 żyła w Warszawie przekupka, Ewa Jankiewiczowa,

która miała stragan przy Żelaznej Bramie; lat jej niezapamiętano, wiadomo jednak, że miała 20 córek i wszystkie wydała za mąż. Na weselu najmłodszej było 50 wnuków i wnuczek, a 18 prawnuków. W kolonji Felicjanowie, w gminie Dłużyńskiej, w powiecie rawskim, był w r. 1882 Fryderyk Jabkowski, mający 138 lat. Był kawalerem 100 lat, poczem pojął za żonę osobę 50-letnią i jeszcze w r. 1882 żyli oboje w zupełnem zdrowiu. Był on porucznikiem w wojsku pruskim. Przechowało się też wspomnienie, że król Jagiełło spotkał pewnego razu na łąkach leśnego, mającego lat 150. Król zdumiał się bardzo nad sędziwością jego i zdrowiem, więc zapytał go: „Czy chorowałeś kiedy?“ — „Nigdy, miłościwy panie — odparł leśny. — Nie bawiła u mnie choroba nigdy, bo wygodny nie miała.



## Wiewiórka.

Jeden z obrazków sierpniowej „Zorzy“ przedstawiał wiewiórkę i jej gniazdo. Owoż chcę powiedzieć choć teraz, — bo wcześniej miejsca brakło — parę słów o tem zwinnem i ładnym zwierzątku.

Wiewiórka, podobnie jak bóbr, zając, mysz, należy do gatunku gryzoniów. A więc i zęby ma szczególniejsze, takie same, jak u wymienionych zwierząt, to znaczy: kłów jej brakuje zupełnie, a przednie zęby, tak zwane siekacze, mają tę własność, że rosną wciąż, bez przerwy, przez całe życie wiewiórki. Musi więc ona wciąż gryźć twarde przedmioty, jako i wszystkie inne gryzonie, aby te swoje siekacze ścierać.

Sposób żywienia się zwierząt zależnym jest ściśle od rodzaju zębów, które posiadają. Krowa, naprzykład, co nie ma górnych siekaczy, żywi się miękkim roślinnym pokarmem, który przeżuwa na mocnych, szerokich zębach trzonowych. Psy, wilki, tygrysy szarpią drgające mięso ostremi i dłu-

giemi kłami. A wiewiórka i inne gryzonie, pozbawione kłów, gryzą przednimi zębami twarde części roślin.

Wiewiórka żywi się młodemi pędami drzew i tem wyrządza szkodę lasom. Lubi też gryźć szyszki smereków, ale przysmakiem dla niej największym są orzechy. Na jesieni jada je wyłącznie, a przezorna i zapobiegliwa, robi z nich zapas na zimę. Upatrzuje mianowicie dziuple w drzewach i napełnia je wyborowemi orzechami. W dziupli ściele też sobie gniazdo z miękkich mchów i zatknąwszy najmniejsze otwory i szparki, zasypia w ciepłe snem słodkim na zimę. Wprawdzie gdy słońko przygrzeje silniej, to i w zimie wysuwa się ze swej kryjówki na świat boży, lecz nie posiada takiej ruchliwości, jak wiosną, albo latem.

Wrogiem największym wiewiórki jest tumak, czyli kuna, ryś, żbik. Umie w prawdzie szybko i zwinnie przed niemi umykać, ale gdy dopadną biedaczki, wówczas wybija niechybnie ostatnia godzina jej życia.



## Rady gospodarskie.

Henryk Czworthy, rządnny, waleczny i prze-mądry król Francuzów, zwykł był mawiać niegdys: Jednej rzeczy pragnąłbym najbardziej, a to, aby każda rodzina włościańska we Francji spożywać mogła co dzień na obiad kurę, w smacznym rosole ugotowaną. — Zaiste, mądrze powiadał, bo jakież dobrobyt, jaka oświata musiałyby panować w kraju, w którymby lud żywił się tak zdrowo i oficie! Nam, przy naszej biedzie, marzyć nawet o tem niepodobna. Ale możemy i musimy starać się, aby z tego przynajmniej, co mamy, przyrządzać możliwie smaczne i zdrowe pożywienie, bo od tego zależy zdrowie naszych rodzin.

Owoż dziś, miłe gospodyni, chcę Wam opowiedzieć o bardzo zdrowej i smacznej potrawie. Przyrządza ją na Litwie każda gospo-sia bez wyjątku, czy mieszka w chacie, czy we dworze. Bo zrobić ją bardzo łatwo, trzeba mieć jeno trochę mąki owsianej — i tyle. Potrawa ta nazywa się

**Kisiel.** Jakże ją przyrządzić? — A oto tak: Wziąć, dajmy na to — 4 litry owsianej mąki, nie sianej, wprost jak ze młyna, albo z utarcia w domu, na żarnach. Wsypać onać mąkę wieczorem najlepiej do dzieży od chleba, a jeżeli kto nie ma, to do dużego garnka. Potem nalać wody letniej, ale nie gorącej — i dobrze rozmieszać, aby było dość gęste, lecz mogło się przelewać łyżką. Potem dzieżę lub garnek przykryć czystą płachtą i postawić na całą noc w ciepłe, przy piecu, aby zakwasiła. Poznać łatwo po zapachu i smaku, czy zakwasiła. Gdyby jednak to nie nastąpiło do rana, to trzeba poczekać dłużej.

Skoro rozechny należycie zakwasić, cedzi się go przez rzeszoto — nie przez sito — a gąszcz wyciska mocno w rękach i odrzuca precz, jako na nie już nie przydatny. Otrzymamy w ten sposób płyn biały, przezroczysty, kwas-kowaty, takiej gęstości mniej więcej, jak śmietanka słodka: Zowie się on **ced** od wyrazu cędzić. Teraz solimy go, wlewamy w garnek lub kociołek i warzymy. A warząc, wciąż łyżką trza mieszać, bo w przeciwnym razie woda odskoczy i ciężkie jakieś gałki się poczynią. Gdy ced zrobi się cały gęsty, niby kasza, co się łyżką da przelewać, to znaczy, że już kisiel uwarzony, że można go spożywać.

— A czem-że ów kisiel omaścić? — za-ptyacie z pewnością, miłe Gosposie. Na szcze-ście i omasta do niego bardzo tania. Jedni tłuką zlekką kłainek, mieszają z nim kisiel i powiadają, że tak im najlepiej smakuje. Inni wkładają kawałek masła, — jeszcze inni przy-smarzają posiekaną cebulę z olejem, — a są i tacy, co dają kilka kawałków śledzia do wa-rzącego się kisielu.

Dotąd była mowa o kisielu na gorąco. Ale można go jadać i na zimno, — w lecie zwła-szcza smakuje wybornie.

Chcąc mieć kisiel na zimno, mniej daje się wody przy rozczyntaniu mąki owsianej w dzieży, aby ced był gęściejszy i solić go nie trzeba, warząc. A gdy się uwarzy, wylać na misy i wynieść do piwnicy lub komory, na chłodek. Po kilku godzinach zastygnie, robi się jak galareta, że nożem będzie go można krajać.

Do zimnego kisielu, używa się, jako omasty, w poście, a zwłaszcza w wigilję Bożego Naro-dzenia, wody mocno osłodzonej miodem, czyli tak zwanej syty, albo mleka, zrobionego z roz-tartych ziarn konopi, lub maku. W zwykłe dni najlepiej jadać go ze słodkiem mlekiem krowiem.

Zwrócę jeszcze uwagę Waszą, drogie go-sposie, że kisiel to potrawa nietylko nadzwyy-

eczaj pożywna, lecz i zdrowa. Ced, z którego się on warzy, dają pić dzieciom od robaków, a także osobom dorosłym, chorym na nerki. Środek ten, jako bardzo skuteczny, zalecali dawniej często biegli lekarze. Sama znałam starszą osobę, ciężko chorą na serce, której każdy bez wyjątku pokarm szkodził, — jeno zimny kisiel ze słodką śmietanką nie wywoływał bicia serca. Żywiła się też nim wyłącznie przez kilka miesięcy i odzyskała najzupełniej zdrowie.

A teraz jeszcze jedna uwaga, o cedzie, z którego warzy się kisiel.

Kto chce mieć

**wyborne suchary**, niech zamiesza ów ced z żytnią mąką, jak na zwykły chleb, ale bez kropli wody. Potem niech doda do ciasta trochę drożdży. Nim piec się wypali, ciasto podrośnie. Wtedy robić małe bochenki, wielkości główki kapuścianej i wsadzić do pieca. Upieczone i ostudzone bochenki przekroić ostrym nożem na dwie płaskie, okrągłe połowy i dać do pieca, niezbyt gorącego, aby się dobrze ususzyły, byle nie spaliły.

Suchary, upieczone z żytniej mąki na cedzie, mają smak wymieniony, a taką kruchość, że rozpływają się w ustach, kruszą od lekkiego pociśnięcia w palcach, choć niema w nich ani mleka, ani jaj, ni masła.

Jadać można suchary na cedzie i same — i z każdą zupą, mlekiem, z piwem, — używają ich także po dworach do herbaty. Słyszałam od wielu osób bardzo wybrednych, że smakują im lepiej z herbatą, niż najdroższe ciasta. Sprobujcież, moje złote Gosposie, upiec je u siebie w domu. Trud się opłaci.

**Jak należy solić rydze na zimę.** Zebrane rydze obebrać starannie czystą szmatą, ale nie płukać w wodzie. Potem oberznąć nożem trzonki, czyli nogi — jak w niektórych stronach powiadają — a same czapeczki, czyli kapelusze, układać w drewnianem naczyniu i każdy rząd, każdą warstwę rydzów przesypywać obficie solą. Rydze powinny leżeć w naczyniu tak, jak rosna, to znaczy: gładką stroną do góry.

Gdy sądek, konewka, wiaderko, gielata lub inne jakie naczynie będzie już pełne, trzeba ją zostawić do następnego dnia, nie naciskając ani deszczką, ni kamieniem, bo się rydze wnet pokruszą. Po upływie kilka godzin grzyby zwiędną od soli, okryją się rosą i osiadną. Należy więc znowu świeżemi dopełnić naczynie i tak czynić przez dni kilka. A potem przykryć okrągłą deszczką i kamieniem nacisnąć.

Posolone w ten sposób rydze, jeżeli tylko będą zawsze okryte rosą z soli, mogą stać w piwnicy, nie psując się, do następnego lata.

Należy jeno od czasu do czasu obcierać z pleśni kamień i deszczkę.

Teraz właśnie najwyższy czas, abyśmy sobie zrobiły zapas solonych rydzów, drogie Gosposie. W zimie, zwłaszcza w poście, przydadzą się bardzo, bo są smaczne i pożywne. Pożywność grzybów — to rzecz wszystkim dobrze znana.

**Borówki pieczone na zimę.** Czerwone borówki, które teraz właśnie dojrzewają po lasach, nazywają się w niektórych okolicach brusznicami. — w innych znowu kamionkami. Jest to wyborna i bardzo zdrowa jagoda, a dobrą jej stroną jest i to, że można zrobić z niej zapas na zimę bez ociupiny wydatku. Robi się to w sposób następujący:

Uzbierane borówki przebrać starannie, aby nie było między niemi listków, gałązek lub nadpsutych jagód. Po przebraniu wsypać do czystego garnka, wlać mały kubeczek, lub niepełną szklankę wody, przykryć okrągłą deszczką i wstawić do pieca, z którego się wyjęło chleb upieczony. Z początku trzeba zajrzeć parę razy do garnka, bo te jagody rade z niego uciekają — i równać łyżką, potem zostawić w spokoju, aż się dobrze upieką, — byle się nie spaliły. Jeżeli garnek był zupełnie czysty, to się te jagody nie zepsują przez całusienki rok. A jak będą smakowały dzieciom w zimie do kromki czarnego chleba i — co ważniejsza — nie mało zdrowia im dodadzą.

Kto ma swój miód, może wlać do borówek — przed wstawieniem do pieca — mały kubeczek miodu, a będzie miał prawdziwie królewski przysmak. Jeżeli się osładza jagody miodem, to wody w takim razie nie trzeba dodawać. Borówki można piec także i w rurze, gdy się obiad warzy, byle nie było w niej zbyt wiele ciepła, a jeno tyle, ile trzeba, aby się mięso upiekło.





## Odpowiedzi od Redakcji.

*Braciom Ludowcom życzę z całego serca zwycięstwa przy wyborach do Sejmu dnia 5. września. Złóście, drodzy Przyjaciele, mandaty chłopskie w wierne dłonie, bo lud, któremu na każdym kroku wydzierają należne prawa, potrzebuje, bardzo potrzebuje dzielnych obrońców!*

*Szczęście Wam Bóg w trudnej walce!*

*P. Jan Król w Brzezówce.* Proszę wybaczyć, że tak późno odpowiadam. Ale piszę i w „Zorzy“ i osobno pocztą, ile czasu i możliwości starczy, a jednak wciąż mam zaległości przeróżne. Szczęście jeszcze, że czytelnicy gazetki to ludzie swoi, nie obcy, więc tak bardzo za złe chyba nie wezmą. Za przysłaną „legendę“ bardzo dziękuję. Dam ją w „Zorzy“, skoro się miejsce jakie zrobi na tego rodzaju utwór. Bo sami dobrze miarkujecie, Panie, że numer gazetki nie może być bardzo jednostajny. Trzeba w nim dać powiastkę, listy, rozmaitości, gospodarstwo i coś z historii, geografji i t. d.

Widząc, że tak wielką macie wprawę w pisaniu, myślę, że „Zorza“ nie raz jeszcze otrzyma z Brzezówki jaki artykuł. Bardzo o to proszę i szczerze pozdrowienia zasyłam.

*P. Jakób Bednarczyk na Spiżu.* To prawda, że Landek niedaleko od Zakopanego. A druga prawda, że warto poznać ziemię Spiską i odwiedzić życzliwych Czytelników gazetki. Ale cóż, kiedy ja tego lata nie jestem w Zakopanem. Siedzę w uroczej dolinie Karpat stryjskich, w Żelemiance za Hrebenowem. Świat tu bardzo piękny. Góry wprawdzie nie takie wysokie, jako Tatry. — najwyższy szczyt, Paraszka, wznosi się jeno na 1271 metr., ale zielone, zielenieńkie, od szczytu do stóp pysznym lasem smerekowym okryte. A że są nie po-

chyłe, lecz zupełnie prostopadłe, jako mur. więc się wydaje, że cała dolinka, to olbrzymia nawa świątyni o zielonych, wonnych ścianach, z aksamitnym kobiercem trawy, miast posadzki i błękitnem niebem-sklepieniem u góry. I wody dobre: przejrzyste, zimne, drobnemi wodospadami szumiące. Pod samą ścianą gór biegnie Opór, wesoły, rozgadany, jasny, bo w tej dolinie łączy się z wybraną swoją, wartką Żelemianką, która aż dwoje srebrzystych ramion ku niemu wyciąga. Więc, powtarzam, piękny tu świat, bieda ino, że wioski niema, tylko domy dla gości letnich. Oczy nie widzą ani pól uprawnych, kłosami falujących, ani chat, ani ludu nie widzą i — tęsknią...

A pamiętajcie, panie Jakóbie, abyście. broń Boże, nie pisali do gazetki, dopóki roboty w polu się nie skończą.

*P. Anna Śmierciakowa w Przyszowej.* Nie poradzę ani powiedzieć, jak się raduję, że czytujecie gazetkę, miła Gładzinko. Jesteście pierwszą czytelniczką w tamtym zakątku górskim, a wiadoma rzecz: za jedną pójdą wnet inne. Dobra rzecz warciej się rozpowszechnia, więcę znajduje naśladowców, niż zła. I dzięki niebu, że tak jest! Kto zamówił dla Was gazetkę? — A juści Wasz dobry, młody brat. A jak to pięknie, że nie tylko sam garnie się do oświaty, lecz i innych do niej zachęca.

*P. Józef Wincek w Stocinie.* Nie, — czytelnicy „Przyjaciela Ludu“ nie otrzymują „Zorzy“ bezpłatnie. Kosztuje ona dla nich 20 ct. rocznie. Bo myślimy sobie tak: kto pożąda dać 5 ct. na kwartał za szlachetną i pożyteczną rozrywkę. jakiej dostarcza gazetka, ten i za darmo czytać jej nie będzie. — Za wierszyk szczerze dziękuję. Postaram się go umieścić, skoro tylko będzie można.

*P. Maciej Łaskoś w Żeglecu i p. Stan J.* w Brześciu. Prenumeratę na obie gazetki otrzymaliśmy. Ale prosimy Drogich Przyjaciół, by nie żądali pokwitowania w gazetce, bo pieniądze nie giną na pocztach, a miejsca na rachunki szkoda. — Siła pozdrowień, siła życzeń przyjaznych zasyłamy!



Treść numeru: Czary. — Słonko. — Z ziemi śląskiej. — Słówko małe o wsi Łoszniowie. — Listy do „Zorzy“. — Czyny nauczające. — Rozmaitości. — Wiewiórka. — Rady gospodarskie. — Odpowiedzi Redakcji.